

Predikos z Halikarnasu

Neuriada

*w tłumaczeniu
Roberta Ostafińskiego-Bodlera*

*„Pierwszym z ludów północy, który uchodzi za
praprzodków męźnych Słowian, są wzmiankowani przez
Herodota – *Neurowie* - żyjący w bagnistych lasach
między siedzibami dawnych Germanów i Scytów.”*

Krótką nota od tłumacza

W czerwcu 2006 r. przebywałem na wakacjach w miejscowości zwanej dziś Bodrum, opodal dawnego Halikarnasu. Miasto równie urocze i malownicze, co próżne współczesnością właściwą bardziej dla części francuskiej riwiery, niż domeny bohaterów starożytności. Po zwiedzeniu resztek z tego co zostało lub raczej, gdzie było umiejscowione słynne Mauzoleum władcy Karii, wypożyczyłem samochód i pogałem na północ. Zwiedziwszy cudowny Efez ze wspaniałą biblioteką, Milet z jego imponującym teatrem i ruiny Magnezji, gdzie Rzym powalił ostatniego z wielkich Macedończyków, dotarłem do zapadłej w mroku dziejów Dydyny. Miejscowość dziś niemal nie znana, nieco na uboczu *głównych* szlaków, a przecież kryjąca jedną z największych w tym rejonie świata świątynię Apollina. Po tym jak obiegłem wzdłuż i wszerz wszystkie zakamarki przybytku pana Muz, razem z małym Robertem Oktawianem, moim synkiem, odwiedziliśmy ciekawy sklep z pamiątkami i antykami. Magazyn ten znajdował się *vis a vis* wejścia do świątyni. Kupiłem tam niewielką książkę poświęconą Dydynie i już miałem opuścić antykwariat, gdy moją uwagę przykuła wsunięta pod ławę stara, zmurszała waza grecka z gliny, wypełniona lub też zalana po brzeg czymś w rodzaju wosku. Sprzedawca z pobłażliwym uśmiechem oddał mi ów „zabytek” za niewielką cenę jako dodatek do książki. Po powrocie do hotelu mój żwawy synek, ganiając po pokoju strącił ze stołka ową wazę, tłukąc ją na kawałki. Sprzątając ze smutkiem rozbite resztki naczynia, wśród nieregularnych skorup i grud owego wosku lub innej podobnej substancji, odgrzebałem rodzaj owalnej, zamkniętej tuby. Smutek ustąpił miejsca oniemiaeniu i nieodpartej ciekawości. Po jej otwarciu odnalazłem zwoje zmurszałego manuskryptu. Moje zdziwienie i ciekawość wyprzedziła rozważę, i zacząłem gorączkowo przeglądać owe zapiski. Nadzwyczaj dobry stan materiału kazał mi wprzód sądzić, że mam do czynienia z czymś stosunkowo nie tak starym, ale już pierwsze wersy wprowadziły mnie w zupełne osłupienie. Okazało się, że czytam tekst, lub raczej jego kopię, pisarza z V/IV wieku przed Chrystusem. Całe trzy dni niemal nie wychodziłem z pokoju drobiazgowo przepisując greckie strofy tajemniczych zwojów. Kiedy skończyłem, zapakowałem je do owej tuby i zaniósłem do Muzeum w Bodrum. Dyrektor placówki podziękował mi za znalezisko, i poprosił o pozostawienie numeru telefonu. Nigdy jednak do mnie nie zadzwonił, a kiedy zrobiłem to sam, powiedziano mi, że ów dyrektor nic nie wie o żadnym znalezisku. Po powrocie do kraju zabrałem się do tłumaczenia i kiedy dotarłem niemal do końca, moje zapiski z greckiego manuskryptu w niewyjaśniony sposób znikły razem z bezpośrednim tłumaczeniem z twardego dysku. Wszystko to zatem co spisałem na nowo odtwarzam jedynie z mej niedoskonałej pamięci. Wszak z drugiej strony muszę wyznać, że nie wiele spraw w życiu tak bardzo zajęło mój umysł, tak trwale wpisało się w pamięć, jak owe odnalezione zapiski z odległej przeszłości.

Rozdział I

Zwę się Predikos z Halikarnasu, uczeń Herodota, znany u ludów barbarzyńskiej północy jako Preda-Kruk. Jestem już stary i niewiele życia zostało w mym zmęczonym czasem i strachem ciele. Wystarczy go przecież jednak, i na bogów olimpijskich starczyć musi, by u schyłku mych dni spisać dzieje Daurenta, syna księcia Krywina- wodza hord neuryjskich.

O gdybyż się życiem można było upić jak frygijskim winem, żłopałbym sute czary bieglej niż syn Semele. Cóż skorom śmiertelny, a bezduszna Atropos ze zwojem w naręczu miarowo odmierza resztkę nędznego żywota. Ścigać się muszę z czasem; wielce zatem jest możliwe, żem skazany już teraz na nieuchronną klęskę. Nic wszak to nie znaczy dla szalonego umysłu, który dźgany iskierką zewu konieczności i nieodpartego przeznaczenia, pali się wolą polotniej niż węgle w kuźni Hefajstosa.

Dla mych greckich kolegów po piórze, a nawet dla najbliższych przyjaciół i członków własnej rodziny uchodzę za człeka obłąkanego. Nawet mój wielce rozumny nauczyciel, największy z dziejopisów Hellady, uważał, że me opowieści są jedynie wykwittem chorego szaleńca. „Mity, baśnie i nic więcej”- rzekł Herodot, kiedy wysłuchał relacji z mych podróży i przygód. Ha! Mity! Na Hades! Czyż dzieje Priama są mniej rzeczywiste niż królestwo cór Aresowych u wyniosłych gór Kaukazu?! O nie dla mi współczesnych, lecz dla potomności spiszę zatem wszystko czego byłem naocznym świadkiem lub co usłyszałem od tych, którzy sami widzieli realne zdarzenia i zgoła nierealne zjawiska lub zwidy. O tak, fakt, po fakcie, jak kamień po kamieniu, a wzniosę świątynię wiecznotrwalej pamięci, którą już nie zetrze z kart dziejów bezpłodna ignorancja. A jeśli na bogów nieśmiertelnych potomność okaże się równie nierozumna jak otaczający mnie dziś Grecy, tedy spiszę to jedynie po to, by było zapisane, a niech Logos sam nada temu sens i cel.

Pewien młody człowiek, zdaje się Sokrates, na uczcie u Peryklesa głosił, że uznaje istnienie absolutnego dobra i absolutnej prawdy, a co więcej, że bezwzględny i najwyższy dobrem człowieka jest cnota moralna, udzielająca szczęścia, zarazem wiążąca ze sobą dobro i pożytek. Jego zdaniem warunkiem tej cnoty jest wiedza etyczna, a wszelkie zło pochodzi z nieświadomości. W uzasadnieniu własnych sądów powoływał się on na wspomagający jego biegły umysł głos wewnętrzny, będący pomocą bóstwa. Pomyśleć, że dzisiaj Meletos oskarża go o bezbożność. Zaprawdę żaden z tych ulicznych mędrków, co do czasów wielkiej zarazy tak bujnie plenił się, wystając po wszelkich placach, targach i drogach wokół Akropolu, nie zdobył mego szacunku, jak ów pyrkaty nauczyciel cnoty, włóczący się po Atenach w wytartym płaszczu. Ja sam hołubiąc *Prawdę* jako dobru samemu w sobie, wierzę, że z niej spłynie kiedyś iluminacja ludzkiego umysłu i człowiek pozna niezmiennie prawa rządzące istnieniem. Wiara w to przesłanie płynie wartkim strumieniem na wskroś przez me jestestwo, wołając tym niezapomnianym głosem, który usłyszałem duszą w gajach barbarzyńskich Neurów.

Nie wiem jakim w przyszłości ludzkość hołdować będzie zwyczajom, jaką będzie sławić kulturę, i jakich czcić bogów, lecz w znanych mi dziejach świata żaden lud nie wniósł tak wiele cnót i wartości jak rodacy Achillesa i potomkowie Odysa. Stąd będę pisał na sposób grecki, tak jakbym to czynił lekturą Tukidydesa i młodego Ksenofonta. Tylko bowiem tak jestem w stanie opisać mroczny świat barbarzyńców z odległej Hellenom północy. Dziwność i nieodgadniony mistycyzm zwyczajów Neurów, a nade wszystko nieludzki i ubogi w pojęcia język, którego stąd znajomość dość szybko posiadałem, tak dalece odbiegają od znanych Grekom wyobrażeń, że dla opisu ich dziejów, wierzeń i roli ich wodzów, muszę posłużyć się terminami znanymi Hellenom z pieśni o bohaterach Homera.

W czas owego lata, w roku, w którym potomek Alkmeonidów, ów sławny syn Ksantipposa, po raz pierwszy objął urząd stratega, mistrz mój i mentor posłał mnie do Tyras, starej kolonii Miletu, położonej u zachodnich brzegów *Pontus Euxinus* (Morze Czarne). Stamtąd miałem udać się w górę rzeki możliwie najdalej na północ, by sporządzić dokładny opis ludów i krain na ziemiach dotychczas niezbadanych przez żadnego z Greków.

Mój niewielki statek handlowy pchany wiatrem i wiosłami niewolnych sunął po szarej rzece przez wiele dni, wprzód swobodnie, potem w dolinie o wąskim dnie i bardzo stromych, czasami skalistych zboczach, nazywanych przez okoliczne plemiona jarami. W końcu dotarłem do wyniosłych gór i wystygłych z dawien wulkanów oddzielonych śródgórskim zapadliskiem, porośniętym gęstwiną wspaniałych dębów, buków i grabów, a w dolnych wilgotnych piętrach na południowych stokach, usiane klonami, jesionem i wrzosem, rozlewały się bujne dąbrowy. Wielkie bogactwo tego drewna spławiane przez barbarzyńców w górnym biegu rzeki, zasila stocznie w Pireusie od czasów Salaminy. Nic tedy dziwnego, że od dziesięcioleci handel tym surowcem, jak i niewolnikami, kwitnie, zbliżając zarazem Hellenów z Trakami.

Jeden z nich- owych krzepkich, długowłosych, na wpółdzikich ludzi - przywitał mnie na nabrzeżu łamaną greką:

-Niechaj ma cię w opiece rączy Bachus szlachetny przybyszu. Zwę się Sarmiztag.

-Bądź pozdrowiony- odpowiedziałem mu godnie i czym prędzej jąłem wypytywać o szlaki wiodące na północne rubieże znanego nam świata.

Sarmiztag okazał się wielce pomocnym, i po ustaleniu wartości jego nieocenionych usług, zabrał mnie do pewnej osady, celem uzupełnienia zapasów i ludzi. Niedługo potem nasz dziewięćosobowy tabor ruszył w głąb dzikich ostępów północy. Poruszaliśmy się wolno z trudem przedzierając się przez gęste knieje, ostre chaszczki i zarośla, co rusz omijając rozległe moczary i zdradliwe bagna. Zatrzymywaliśmy się zwykle u stóp gór, otaczając obozowisko niewielkim ostrokołem. Ludzie mojego przewodnika byli doskonałymi myśliwymi, więc nie brakowało nam świeżego mięsa, leśnych owoców i grzybów. W czasie nocnej straży budziły mnie czasem okropne odgłosy puszczy. Przeróżliwe pohukiwanie sów i jeszcze okropniejsze wycie dzikich watah wilków, nieraz szargały mi nerwy, choć mam się za człowieka odważnego. Po wielu dniach wędrówki dotarliśmy w końcu na rozległą polanę i po raz pierwszy od tygodni mogłem nasycić oczy otwartą przestrzenią. Jakże odmiennym od rodzimej krainy był ów mroczny, a przede wszystkim natarczywie szary i wilgotny krajobraz. To co jednak uderzało najbardziej to zupełny brak ludzi. Wydawało się, że poza naszą grupą w całym borze nie ma żadnej istoty przypominającej człowieka. Jakże zatem ludy miałem tu odkrywać, czyje zwyczaje i wierzenia opisać? Sarmiztag zapewnił mnie jednak, że żyją tu dzikie plemiona, a nieco dalej na północy mają swe siedziby ludy przypominające zwyczajami niektóre szczepy Traków.

-Większość z tych barbarzyńców panie koczuje w ciągłym ruchu- rzekł do mnie Sarmiztag po kilku następnych dniach bezowocnych poszukiwań. Przestałem mu jednak wierzyć. Było coś chytrego w jego nieszczerym i unizonym tonie. Miałem wrażenie, że przejrzałem sprytny plan mego Traka. Zapewne celowo włączymy się wkoło i kiedy już będę wystarczająco zmęczony i zniechęcony mój przewodnik na moją własną prośbę poprowadzi mnie z powrotem, żądając uzgodnionej zapłaty. Pewnie już od dawna leżałbym w jakimś stawie z poderżniętym gardłem gdyby nie to, że sakiewki ze złotem przezornie zostawiłem u znanego mi dobrze kupca greckiego w Tyras. Upór z jakim dążyłem do wyznaczonego sobie

celu z czasem zaczął drażnić Sarmiztaga, który zrozumiał w końcu, że na nic zda się wodzenie mnie po manowcach. Pojął wreszcie, że choćbym miał błędzić po tych lasach do następnej olimpiady, nie zrezygnuje z realizacji mych zamierzeń. O nie, nigdy bym nie wrócił do Halikarnasu z podkulonym ogonem. Po mojej stanowczej odmowie powrotu do Tyras przebiegły Trak postanowił, że jego łupem będą moi niewolnicy i mój dobytek. Najpierw jednak musiał pozbyć się mnie. Był późny wieczór. Otulony w grubą chlamidę i z wciśniętym na uszy petasos,¹ leżąc w wilgotnej grocie skalnej, zmarznięty i nieco już chory, powoli oddawałem się w objęcia snu, licząc, że w tym niby Asklepiejonie północy odzyskam zdrowie i siły. Kiedy już zwolna sen kładł swe ołowiane berło na me zmęczone powieki, usłyszałem cichy szelest. W ciemnościach nocy błysnęły ślepie i zadźwięczał syk żelaza wysuwanego gwałtownie z pochwy. Kiedy zrozumiałem co się dzieje, nagle powietrze przeszył warkot strzały, która przebiła gardziel czającego się w mroku Traka. Sarmiztag upadł na kamienne podłoże, rżąc jak dziki zwierz w potrzasku. Na zewnątrz grotu gwałtowna wrzawa ustąpiła niepokojącej ciszy. Przywarłem do wyrębu skały i jak gad starałem się wtopić w jej twardą powierzchnię. Zimny dreszcz spleciony z narastającą niewiadomą pogłębiał mój strach, co niby kroć sztyletów przybiły mnie do ścian grotu. Długom trwał w bezruchu, starając się nawet zmniejszyć ilość wdychanego powietrza, i kiedy już zdało się, że zwolna niebezpieczeństwo uszło a wróg wraz z ostatnim jękiem zarżniętego rozpląnął się w puszczy, moją kryjówkę rozświetlił żar pochodni. Oczy me na moment spłotły się z niebiesko-szarym wzrokiem nagiego barbarzyńcy, by w chwilę potem głuche uderzenie w tył głowy zamknęło me powieki.

¹ kapelusz z filcu z szerokim rondem

Rozdział II

Zdrętwiały z bólu i zimna zostałem wydarty z omdlenia przez przerażające wycie, jakie zalało lesistą równinę. Zdało mi się, że trafiłem w samo jądro czeluści Tartaru, że dziesiątki tysięcy oszalałych z wściekłości gardeł dzikich bestii niemiłosiernie ryczą z otchłani ziemi. Na bogów nieśmiertelnych nie myliłem się wcale. Zmysły me odbierały nie plugawe bękarty omamionego chorobą lub bólem umysłu, ale rzeczywiste dźwięki i realne zdarzenia. Kiedy otworzyłem oczy, dostrzegłem, że leżę przywiązany do pnia powalonego na wzgórzu drzewa, a u moich stóp dzikie hordy północnych zastępów, zbrojnych w maczugi, włócznie i łuki, gotują się do bitwy. Masy ludzkie bez żadnego szyku, czy jakiegoś porządku, runęły na siebie z dzikim wrzaskiem. Ogłuszająca fala nieludzkiego okrzyku uderzyła hukiem setki gromów. Rozgorzała bitwa jakiej nigdy me oczy dotąd nie widziały. Zdało się, że każdy tu walczy z każdym i sam jest przeciw wszystkim. Nie sposób było rozeznaczyć, gdzie wróg, a gdzie własny wojownik. Nacierające na siebie watahy zmagają się jak rozszalałe wilki, równie brutalnie, jak krótko. Nagle wszystko przycichło, ustało w swej gwałtowności i rozmyło się w mrokach wilgotnych lasów. Moje oniemiałe bitewną wrzawą, ustąpiło miejsca niepokoju. Niewiadoma nie trwała długo. Wkrótce usłyszałem miarowy odgłos stóp wgniatających pozołkłe liście. Moim oczom ukazał się szpaler szarych istot ciągnących przez puszcze w niemym otępieniu. Przechodząc opodal ledwie zwracali na mnie uwagę, gdy nagle jakieś włochate, wychudłe i żylaste stworzenie pochwyciło powróż, którym uwiązano me dłonie, i pociągnęło za sobą.

Lesista, pagórkowata polana, otoczona gęstym borem, wypełniona była mnóstwem ni to szalasów, ni to lepianek, ni to jam, czy nor wyżłobionych w ziemi, pokrytej prawdziwym mrowiskiem uplecionym z gałęzi, chrustu i mieszaniny brunatnego iłu, mułu i żwiru. Pośrodku tej osady stał rozłożysty gaj dębowy, przeplatany omszoną brzozą i szarymi olchami. Było to serce tego nieludzkiego obozowiska, gdzie dzicy kapłani składali ofiary barbarzyńskim bogom, a plemienni wodzowie urządzali wiece. Dwa dni po moim przybyciu do tej mrocznej siedziby, kiedy straciłem już wszelką nadzieję na ocalenie, zostałem nagle uwolniony z więzów i nakarmiony. Wprzód sądziłem, że może to jakiś rytuał, którego głównym celem będzie przygotowanie do obrzędów złożenia mnie w ofierze jakimś obmierzłym bóstwom. Jakież było me zdziwienie, gdy okazało się, że zostałem wezwany przez samego kniazia hord neuryjskich- Krywina. Oto wódz Neurów w czasie owej zaciętej bitwy był ciężko raniony, i po bezskutecznych wysiłkach swych szamanów, jego stan zwiastował bliski koniec. Dlaczego jednak ledwie dychający książę przywołał pojmanego w niewole obcego. Wszak w tak odległych ziemiach nie jest możliwym by wiedziano lub choćby słyszano o Grekach, a jeśli nawet jakie echa helleńskiej cywilizacji dotarły w te strony, to przecież niemożliwym było, by te niemal na wpółzwierzęce istoty cokolwiek z niej pojęły. Jakżem się mylił. Przebłysk geniuszu Hellenów nie tylko dotarł do siedzib neuryjskich, ale nawet na dobre się tu zagnieździł i przez lata wywierał swój przemożny wpływ na odziane w skóry barbarzyńskie książęta. Jak się później dowiedziałem, wiele lat przed moim pojawieniem się wśród Neurów, zawitał do nich pewien człek, Grek z opisu, zwany przez nich Samkrugiem. Dzięki praktycznej znajomości nauk ścisłych, paroma efektownymi sztuczkami i udanymi zabiegami lekarskimi, szybko podbił serca barbarzyńców, stając się ich doradcą i nauczycielem. Nadto coś było na rzeczy w jego usposobieniu, bowiem dzikusy darzyły go niemal bałwochwalczym szacunkiem, i po jego śmierci składali mu ofiary. Szczęściem spędziłem pewien czas na Kos i Epidaurus, gdzie dość wprawnie posiadałem wiedzę służącej Hygiei. Nie bez obaw jednak przystąpiłem do zbadania stanu kniazia

Krywina. W jego jamie brzusznej tkwiła drewniana dzida, co nie wróżyło dobrze jego wyzdrowieniu i memu ocaleniu. Zmienna Tyche jednak sprzyjała memu przedsięwzięciu i po dokonaniu zabiegu książę z wolna powracał do zdrowia. Od tego czasu nastąpiła wielka przemiana mego losu. Oto stałem się następcą Samkruga, który zdaniem wróżbitów neuryjskich, przysłał mnie do nich z zaświatów. We wszystkie te sprawy wtajemniczył mnie główny kapłan plemienny Wiatyn. Odnosił się on do mnie z wielką estymą i powagą. Nie długo też trwało me przyuczenie do języka barbarzyńców, co z uwagi na jego prostotę – mimo dziwnego brzmienia, – oraz me przyrodzone zdolności – poszło dosyć sprawnie.

Po pełnym już powrocie do zdrowia księcia Krywina, Neurowie mogli uczcić swoje zwycięstwo. Okazało się bowiem, że odparli najazd odwiecznych swych wrogów ze wschodu – dzikich i okrutnych Budynów.

Biesiada pod gajem przy suto zastawionych pniach powalonych dębów nie przypominała niczego, co Grekom kojarzy się z prawdziwą ucztą, prócz jednego chyba akcentu, w którym aż nadto ujawnił się geniusz wpływów Samkruga. Oto po wrzaskach kobiet i pohukiwaniach wojów zapanowała cisza. Na podwyższeniu z buków pojawił się główny kapłan boga Swaroga – siwobrody Wiatyn z jasnowłosym wyrostkiem. Młode a urodne chłopie jęło dąć w koślawą piszczałkę z wierzbowej kory i jakimś nieodgadnionym czarem ukołysało olszyny, splatając ich gałęzie w rozlane na polanach warkocze. Wiatr jakby zawisł w kojącym bezruchu i tylko dźwięk błęgiego oddechu natury złączony, niby w natchnionym tańcu, z cudną nutą ludzkiego talentu, zawładnął moimi zmysłami. Wtedy Wiatyn ujął w dłonie rodzaj łuku o trzech metalicznych cięciwach i jał trącać owe niby struny, jak syn Kaliope niebiańską harfę. Potem melodyjny głos kapłana Swaroga rozlał się donośnym głosem po całej okolicy:

„Oto pieśń o Ruganie i pięknej Wagerze,
których przedziwne losy wstrząsnęły bogami,
składając votum z życia w okrutnej ofierze.

Dawne to były czasy, gdy władał Neurami
mężny książę Renomyr, dzierżący młot srogi,
któremu korne hołdy składali wodzowie,
przed którym drżały wiedźmy i klękały wrogowie.
Z dawien wszak zazdrościli mu sławy bogowie,
zawistnym patrząc okiem na ludzką szczęśliwość,
tedy skrycie poczęli knuć pęta goryczy,
wydając na żer śmierci jątrzącą ich mściwość.

(.....)

Tak zawiść żółcią dławi miraż słodczy.

Miał mężny książę syna Rugana dzielnego,
któremu los łaskawy nie skąpił urody.
Mocarne ramie i włos koloru płowego,
oko bystre a celne, barwy morskiej wody,
i kształtne lico przecież do bogów podobne.

Wiotkie Rusalki leśne śpiewały pochwały,
wianki na głowach plotły dziewczęta nadobne
dzielne woje we szranki z Rugenem stawały,
obici włócznią legli na ziemi śmiałkowie.

Poszedł syn Renomyra zbrojny w bór na łowy,
idąc z włócznią ogromną po bujnej dąbrowie,
kiedy drogę zastąpił mu tur przedziwnie płowy
z rudą grzywą wzdłuż rogów krwią ofiar pokrytych.

Pomruk rozdęty w nozdrzach zgasił ciszę lasu.
Groźne zwierze zaryło kopyta w przebitych
resztkach człeczego ścierwa, rwąc przędzę ich czasu,
i schyliwszy łeb zbrojny ruszyło do boju.

Nie wzruszył się tym Rugan, oszczep ujął w dłonie
i rzuciwszy go w tura, co gnał w żwawym znoju,
rozdarł czerep potężnie krwią zlewając skronie.
Wszak nie wiedział młodzieniec, że zabił Tyrona,
ulubieńca magboga mściwego Wellesa,
co na narzędzie zemsty obrał już Pyrona,²
spuszczając wraz ze smyczy słodyczne pęt biesa.

Rugan tedy usłyszał śpiew, co niosły knieje
i czarownymi dźwięki mąciły mu w głowie,
która poddana nucie, co nie pomną dzieje,
zatraciła się w pięknie, które w ludzkiej mowie
nie znajdzie godnej nazwy dla wrażeń doznania.

Różane panny leśne liśćmi przystrojone
z naręczem białych płatków do ściółki wysłania,
wokół świeżej polany ptactwem okolone,
pływały wokół cudnej w nagości postaci.

Jasna bogini Roda na kwietnym posłaniu
utkanym jedwabiście przez skrzydlatych braci,
w łagodnym i odświeżnym strumyka szemraniu,
ledwie lilią przybrana, z białym wiankiem w skroni,
leżąc słuchała słodkich pieśni swego dworu.

Zoczywszy śmiertelnika z włócznią w rażnej dłoni
zwinne rusałki leśne skoczyły do boru,
łapiąc Rugana w sieci z wiązu uplecione.

Olśniony Rodą młodzian przecie się nie bronił
i rzucony pod nogi rosą oszronione,
w śmiałym zachwycie nisko pani się ukłonił.

Wtedy bogini Roda karmiąca plemiona
neuryjskie od zarania ich ziemskiej bytności,
urodą lic Rugana na wskroś porażona
zapałała gwałtownym zewem namiętności.

² Rozmaicie plemiona północy zwą tego boga: Pronon, Perunn, Pron, Pellon, Pyron, Pyrun, Prove, Prone, Peron, Piorun.

(.....)³

Długo w upojnym splocie tkwili kochankowie
nim grom, co wstrząsnął gajem, nie przerwał słodczy
i gniewną błyskawicą spuścił przekleństw mrowie,
zmieniając miód rozkoszy w żółć srogich goryczy.

Oto sam Pyron mściwy, bóg siłą straszliwy,
bacząc tą, której pragnął, w ramionach Rugana,
wypuścił strzałę ognia z burzowej cięciwy.

Wszak nie dotknęła śmiałka i najmniejsza rana.
Roda go we mgle sinej ukryła starannie
i z pomocą swych dwórek przeniosła do grodu
mężnego Renomyra. Chroniąc nieustannie
Rugana, Roda strzegła neuryjskiego rodu.

Miotał się Pyron gniewnie, rozrzucając gromy,
kiedy bóg magii Welles zadał mu do ucha:
>>Sroży się bóg piorunów, znosząc hańby sromy,
lecz dla tych skarg straszliwych bogini jest głucha.
Wszak nie mogąc ukarać tą co hańbi bogów,
uderz w człeka, którego śmierć zaboli Rodę.
Oddaj jego lud hardy na pastwę ich wrogów,
każąc ojcu za syna płacić srogą szkodę<<.

Stary zwyczaj neuryjski kazał syna księcia
powiązać ślubem z córą kapłana Swaroga,
by ów bóg Słońca wspierał lud przez swego „zięcia”,
chroniąc od ognia, włóczy i strzał jego wroga.
Tak lud Neurów strzegł posług i ofiar strażniczych.

Chowana po świątynnych gajach nad stawami
skryta przed okiem wojów wśród niewiast dziewiczych,
piękna Wagera równać mogła się z nimfami
cudnie powabnym licem i skórą różaną,
bujnym a złotym włosom i okiem błękitnym,
kształtną kibicią, piersią krągłością usłaną.

Wagera ukwiecona posłaniem zaszczytnym,
ukłękła pod starym dębem w święty gaju,
i złożywszy hołd bogom padła do stóp księcia,
co ją oddał synowi, jak było w zwyczaju.

Złożono ofiar krocie, śpiewano zaklęcia,
wszem radość, że złączono starożytne rody,
uczta syta i tańce rozbudziły bory,
miłość zakwitła w sercach nowożeńców młodych.

³ (...) w tym miejscu tekst greckiego manuskryptu był na tyle uszkodzony, że nie sposób było odczytać jego treść.

Nie długo trwała błogość co zalała dwory
neuryjskiego plemienia; już tam Welles mściwy
sączył w zazdrosne serce Rody złość zdradzonej
dla dziewicy; już Pyron złem nielitościwy,
rozsierdzony od hańby dumy poniżonej,
gotował Neurom zgubę, szczując gniew Budynów.
(.....)

Zadudnił padół ziemi, gad szczyrzył kły śmierci;
już tam zastępy groźne księżycowych synów,⁴
szykują srogi oręż, co grób w błocie wiercił.

Urażona bogini Roda pięknołica,
którą ubodła miłość Rugana do dziewczki,
jęła wić zdradę niby przebiegła lisica,
W Renomyr owe serce sącząc szal żądź krewki
ku wdziękom cnej synowej.

Wtedy Welles srogi
zesłał na wieszczka Neurów sen o wybawieniu
od nieszczęść, by odwrócić los zajadle wrogi,
lecz przebiegłość wskazała ratunek w cierpieniu:
Oto w ofierze bogom miano dać Wagerę,
bądź róg Dyrona - Bestii z zatrutych moczarów.

Znęcony krasą dziewczki przez chuci przecherę,
owych zdradliwych zmysłów i ciała pożarów,
Renomyr z żądź szalony, rozkazał synowi,
by zdarł róg Bestii; wiedział wszak kniaź, że ku zgubie
śle Rugana męznego. Nikt co Dyronowi
stanął ze śmiertelników nie wydzierzył próbie,
rosząc jałową ziemię krwi ofiarą gęstą.

Ledwie waleczny Rugan ruszył na moczary
a już kniaź gwałtem posiadł Wagerę nieszczęsną,
która z rozpaczki uszła w ostępy i jary,
by w przepaść rzucić hańby owoce plugawe,
(.....)
uwalniając od wstydu członki obolałe.

Wszak zawistni bogowie nie dali jej zginąć,
lecz opętawszy czarem jej ciało struchlałe,
co mrąc od bólu miało z nurtem rzeki spłynąć,
powiedli znowu w łożę kniazia szalonego.

Nasyciwszy chuć jego żądź wyuzdaną
dziewka oszczepem gardziel przeszła śpiącego,
sama się wnet rzucając na żerdź przywiązaną.

⁴ Budynowe byli czcicielami Chors`a – mrocznego boga księżycy.

Tak bogowie okrutni spełnili swą wolę
i tylko Welles mściwy, planując wciąż zdrady,
mnożąc w swej nienawiści człowieczą niedolę,
w gniewie niesyty dążył do Neurów zagłady.

Już woje Budynowe gnały z ogniem w rękę
na neuryjskie dziedziny, już tam krzyk i mordy
splotły się wnet ze sobą w uścisku i jęku,
gdy nagle huk ostudził strachem dzikie hordy.
Zamarła ludzka trzoda we krwi uwalana,
uszedł ogień z płonących żarem pełnych stogów.

Oto zagrział róg Bestii dęty przez Rugana.
Młodzian wsparty przez wolę największego z bogów,
powaliwszy Dyrona, zdarł kiel jego mocy
i wiedziony złocistym promieniem Swaroga
rozgonił światłem Słońca złe demony nocy.

Tako się objawiła łaska cnego boga,
który się ulitował nad neuryjskim ludem
i pomny na ofiary mu w hołdzie składane,
(.....)
wyrwał od zguby Neurów, ratując ich cudem.
Uszły Budynów hordy, rozpierzchły ciemności,
obeschły lica niewiast rozpaczą skrzywione,
a ziemia pochłonęła sterane krwią kości.

Mężny Rugan płomieniom oddał ciało żony,
takoz i Renomyra uczcił zwłoki sine,
potem grozą śmiertelną wprost w serce rażony,
ogniem pragnął wymazać nieśmiertelnych winę.

Sam z pochodnią wyruszył hen ku gajom świętym,
Zdając żarowi razem i siebie i bogów.
Miejsce to odtąd zowie się Gajem Przeklętym
otoczonym przez bagna jałowych odłogów.

Śmierć męznego Rugana zasmuciła duszę
Złocistego Swaroga, co gniewny na bogów
wygnał ich z puszczy północy hen za morską głuszę,
by nie przeszli przez tysiąc lat neuryjskich progów.

Osieroconym ludem z woli boga Słońca
zawładnął zaś syn Rody poczęty z Ruganem.
Tak pieśń o dawnych dziejach dobiegła już końca
przeto złożcie cześć Słońcu votów pełnym dzbanem.

Rozdział III

Zwyczajem barbarzyńskich plemion północy, zwycięski książę od pobitego szczepu odbierał daninę, będącą zarazem zadośćuczynieniem za krzywdy, trybutem uznania siły, jak i aktem ukorzenia się, który kończył czas „bycia we krwi”. Pokonany wódz Budynów, krzepki Mezamir, przybył do gajów neuryjskich na czele starszyny złożonej z wołchów i głów najważniejszych rodów. U boku zaciętego Mezamira stał jego okrutny syn o imieniu Baz, noszący za rodzicielem ogromną drewnianą tarczę i ciężki oszczep.

Ceremonia miała miejsce przy chramie Swaroga, pod starym, rozłożystym dębem, gdzie na ociosanym pniu, pokrytym niedźwiedzim futrem, siedział w bezruchu książę Krywin, dzierżący ozdobną włócznię. Przy jego boku stał główny kapłan plemienny, wsparty na długiej lasce boga Słońca, i jedyny syn księcia, mocarny Daurent, do złudzenia przywołujący obraz Rugana. Szpaler ofiarników składał vota bogom, a przedniejsi woje kornie układali u stóp Krywina sutą daninę ze skór, wołów i wszelakiej broni. Tłum zbrojnych otoczony gęstą masą wszelakiego ludu, strojny we wieńce, broń i skóry, falował niby strzeliste sosny, połyskując nasadą śmigłych dziurytów i tarcz drewnianych. Tu i ówdzie połyskiwał w snopach, przebijającego się przez konary drzew światła, wiklinowy sztandar z malowanym lub wplecionym wyobrażeniem północnych bóstw. Zaprawdę nierealnie wyglądał ów baśniowy obraz, wyjęty jakby z dawnych mitów i legend, a jednak widziałem to wszystko, byłem świadkiem tych zdarzeń.

Nazajutrz odbyła się uroczystość zaślubin Daurenta z Ardą - córą rosnącego Radyma, który wraz ze swym bratem Wiatynem, byli kapłanami Swaroga. Różanopalca bogini światu nie byłaby bardziej powabna, niżli ta północna nimfa, będąca wręcz uosobieniem sił żywotnych przyrody i jej piękna. Patrząc na nią przypominała mi się cudna czara Durisa ze sceną z Eos unoszącą Memnona. Zaprawdę biła od niej tak soczysta świeżość, że pod jej posągiem można by napisać Najada.

Oczy zebranych w tępych zachwycie świdrowały urodziwą parę, co rusz pohukując, zawodząc, krzycząc lub śpiewając pochwalne hymny. Pośród gapiów wyróżniał się przecież olbrzymi Baz, który uporczywie wbijał swe pożądliwe ślepie w piękną Ardę. Już poprzedniego wieczora, kiedy ujrzał córę Radyma po raz pierwszy na ceremonii przy chramie Swaroga, zapalał dzikim i nieokiełznanym uczuciem do owej puszczowej rusalki. Ogień żądz wyzwolił w nim niezaspokojoną wściekłość, co rozděła mu nozdrza, wybrzmiała mu skronie i żółcią nabiegła w wyłupiaste trzeszcze. Jak oszalały ruszył na bagna, gdzie rozdarłszy sobie skraj dłoni, ryknął przez zaciśnięte zęby:

-O mocarny Perunie, o potężny Chorsie, na siną tarczę księżycy, składałam wieczystą przysięgę z krwi mej, czyniąc ofiarę; daj mi różanę Ardę, a w zamian ja oddam tuzin białych koni, lub jeśli zażadasz, dam własne życie na posługę twej woli!

Nad głową syna Mezamira wezbrały czarne chmury rozdarte krzykiem błyskawicy. Wicher siną smugą spłynął na ziemie, wijąc się niby węże wokół głowy Baza. Demon sycząc przez świsty wiatru, przemówił tymi słowami:

*>>Kto śmie ryczeć po nocy, szczerząc kły zawiści,
Któż wyje do księżycy, wściekle klnąc swą duszę,
Czyj głos skrzy na moczarach wśród zbutwiałych liści,
Miotając łez plugastwo w dziką leśną głusze<<.*

Baz padłszy na kolana wbił pazury w błoto, lecz choć mu strach wyciskał ze ślepi krwawy potok, przemógłszy podłą bojaźń huknął dziarskim słowem:

>>Niczym prócz Twoim sługą nie chcę być mój Panie!
Dawszy na żer mej żądzy wieczystą wszeteczność,
Przez tą którą chcę osiąść, wytchnienie dasz ranie.
Uczynisz niewolnikiem Twej woli na wieczność
Dziedzica Mezamira, co gardzi pokojem.⁵
Weź mój żywot, daj Ardę, ukoi lędźwi wycie;
Twój pies splaci Twą łaskę, chłęcząc krwawym bojem.
Oddaj mi dziewczkę Panie; w zamian bież me życie!<<

Tymczasem uroczystość zaślubin zwolna brnęła przez kolejne akty odwiecznych obrzędów wytyczonych pradawnym zwyczajem, co rusz wzbogaconym o nowinki przez wpływy napotykanymi plemion.

-To wielki dzień, czcigodny Preda-Kruk- z pełnym szacunku głosem odezwał się do mnie młody Dago, bratanek kapłana Wiatyna, i rodzony brat Ardy, świeżo zaślubionej przez Daurenta.

- Teraz siła i moc Swaroga przez mą siostrę przeleją się na syna kniazia, dając Neurom ochronę od ognia, włóczy i strzał naszych wrogów. Teraz złożą bogu Słońca całopalną ofiarę z białego rumaka. Z barwy dymu poznamy, czy Swarog przyjmie naszą daninę, pobłogosławi nowożeńcom i całemu ludowi.

Nadzy ofiarnicy, opasani jedynie wokół bioder skórami wilków, z uwieńczonymi gałązkami dębu skrońmi, prowadzili na dwu powrozech wspaniałe zwierze: ogromny, sinogrzywy koń o białej maści, rżący groźnymi pomrukami, wydawał się równie przerażający co nierealny. Wokół kamiennego ołtarza z pochodniami w dłoni płąsały podobnie do ofiarników przybrane dziewczęta, zawodząc zarazem hymny ku czci barbarzyńskiego bożycza. Cały las zdawał się kołysać w spazmatycznym tańcu, wierzgając gałęziami w rozłożyste konary starych dębów, wokół których wiły się bicze uplecione z liści opasłych wierzb, a tuż za nimi wyły dzikim, nieokiełznanym rykiem wiatru srebrzyste sosny. Czarne od ciężkich chmur niebo rozdarły groźne błyskawice, wtórując na ziemi słupom ognia barbarzyńskich stosów.

Wiatyn ujął w dłoń kamienny nóż i z nabożną modlitwą ruszył na sinogrzywego konia, lecz wtedy zdarzyło się coś strasznego. Wprost z czeluści bram nieba huknął przeraźliwy świst pioruna, który raził kapłana w samo serce. Na moment zapanowała głucha cisza, poczym sinogrzywy rumak zerwał więzy i stratowawszy dwóch ofiarników pognął na bagna.

Pokonany wódz Budynów, stary Mezamir zerwał się na nogi, i podniósłszy oszczep ryknął: - Wola bogów! Ofiara została odrzucona!

Z sinoburego nieba huknęły kolejne gromy, ryjąc wśród chmur ogniste bruzdy. Wiatr wzdął nawałnicę i siarczystą ulewą rzucił się na padół ziemi wściekłym spazmem kipieli; wtedy gęsta mgła spowiła cały gaj, także ludzie zaledwie dostrzegali się nawzajem. Jednak jedne oczy z pomocą `bóstw mściwych przeszły zasnute opary i z wściekłym jadem zadały śmierć; przez ścianę rześistego deszczu przebił się świst szybującego drzewca, które z dzikim wyciem przebiło pierś Krywina. To zaciekły Mezamir pośród chaosu i zawieruchy, powalił swego wroga. Budynowie na znak swego wodza rzucili się na ludzi i łupy, a nim się kto postrzegł, uszli w puszcze. Otumaniony strachem lud Neurów, w bojaźni padł na kolana, lub trwożliwie krył się po ziemnych norach i skalnych jaskiniach; nikt nawet nie postrzegł, że

⁵ Mezamir znaczy „Gardzący Pokojem”

kniaż legł trupem. Wtedy okrutny Baz, świdrując mgławicę, powalił zdradziecko Daurenta i uprowadził w bory piękną Arde.

Rozdział IV

W czeluściach wiecznej nocy, w czarnej krainie złydy, w otchłani wszetecznej nicości spowitej grzesznym mrokiem, bóg magii Welles mściwy, w kornym ukłonie składał hołd Panu Ciemności. Nagle gęste mroki rozdarły bladym żarem szarawe obłoki, ukazując magowi krainę *Hunssaru*. Sinobrunatne smugi bezbarwnych pożarów syczały mroźną głuszą tej dziwnej krainy, śpiewając hymn dla Władcy Cienistej dziedziny.

Omtal Hunssar deventor trytar nuth malagit...
[jako ongiś spisali mroczni kronikarze].

>>Ahellan⁶ mój Wellesie, ahellan w Hunssarze.<<
-Odbitym echem z próżni ozwał się Abadon,
Co jeden dzierżył władzę w lodowej pustyni
Syconej wściekłym wrzaskiem krwiorodnych erynii.

Choć formą niewidzialny pan Mroku –Abadon był niewyobrażalnie piękny i wspaniały, przerażająco pyszny, kształtem doskonały. Zarazem jednak oczy jego mrocznej duszy zionęły grozą śmierci nieskończonej głuszy. Obecność jego ducha bardziej niż widzialna była dla żywej duszy myślą odczuwalna. Welles przypadł do ziemi, klękając nabożnie, i unosząc swe ślepie wycedził ostrożnie:

>>Abadonie, mój Panie, zgodnie z Twoją wolą
Neurów nędzne siedziby Bydynowie kołą,
Gnając wciąż przez ich ziemie pożogi zagony.
Swarog ich patron grzeszny w inne poszedł strony;
Nikt więc Neurów nie chroni, prócz zbożowłosej Rody,
Co zwierzem i owocem syci ich zagrody.<<

⁶ Witaj.